

Bo swing nie umiera nigdy

- Muzyka jest niebezpieczna, bo nie zna granic - przekonuje jeden z esbeków, którzy rozpracowują głównego bohatera spektaklu „Król Swingu”.

Gościnny musical z Maciejem Stuhrem oklaskiwały w niedzielę w Arenie ponad dwa tysiące widzów.

MARTA KAŹMIERSKA

Miejsce akcji: Ciechocinek. Czas: koniec lat 50. ubiegłego wieku. Z emigracji do Polski wraca Fabian Apanowicz (Stuhr). Muzyk chce tu założyć swój big-band i grać zakazaną muzykę. Zakochuje się w tajemniczej Modeście (Natalia Rybicka). Czuje, że ma na karku niejednego „aniola stróża”, ale próbuje po prostu robić dalej swoje.

Tak w wielkim skrócie można opisać fabułę „Króla Swingu”, którego premierowe pokazy odbyły się w miniony weekend we Wrocławiu, Szczecinie i Poznaniu. Przedstawienie wyreżyserował Sebastian Gonciarz - ten sam, który rozslawił poznański Teatr Muzyczny znakomitymi realizacjami musicali „Evita” i „Jekyll & Hyde”.

Muzykę na żywo w „Królu Swingu” gra zespół Wiesława Pieregórki. A na

LUKASZ CYNALEWSKI



Natalia Rybicka konsekwentnie bryluje na scenie w roli femme fatale. Często w duecie z Maciejem Stuhrem

scenie - oprócz Macieja Stuhra - występują m.in. Sonia Bohosiewicz, Natalia Rybicka, czy wokalista Kuba Badach.

Całość przeplatają filmowe fragmenty z Anną Dymną, Marianem Opanią, Marianem Dziędzielem. Bo spektakl powstał na podstawie filmu „Excentrycy” Janusza Majewskiego, który miał premierę 15 stycznia. Część musicalowej obsady (Stuhr, Bohosiewicz, Rybicka) można było oglądać wcześniej w tych samych rolach na dużym ekranie. - Ponieważ tak bardzo zakochaliśmy się w muzykowniu, w tych aranżach, w twórcach, którzy tak cudownie tę muzykę wykonują, ponieważ zobaczyliśmy, że ludzie chcą tego słuchać, kupują płyty, mówią o tej muzyce, powiedzieliśmy sobie, że ona musi dalej żyć

- tłumaczył przed premierą „Króla Swingu” Maciej Stuhr.

Muzyka w roli jadu

W niedzielę spektakl miał swoją premierę w miejscu dla miłośników jazzu bardzo znaczącym - w mieście, w którym zaczynał swoją muzyczną karierę Krzysztof Komeda. Przez wiele lat pracował jako laryngolog w szpitalu niedaleko hali Areny. W latach, w których osadzona jest akcja „Króla Swingu”, powstawały jego słynne kompozycje do filmów „Nóż w wodzie” Romana Polańskiego, czy „Niewinni czarodzieje” Andrzeja Wajdy.

Żeby zrozumieć, po co Janusz Majewski wrócił do tych czasów, tworząc historię Fabiana Apanowicza i po co przerobili ją na scenę twórcy

„Króla Swingu”, trzeba pamiętać, że jazz był w latach 50. nie tylko fenomenem muzycznym, ale też społecznym zjawiskiem bez precedensu.

Dla pokolenia moich dziadków muzyka zza oceanu była po prostu oknem na świat. Szerokie marynarki, buty na słoninie i kolorowe skarpetki, które nosili „wywrotowcy” pokroju Leopolda Tyrmanda, stanowiły dla ówczesnej władzy jasny sygnał, że sytuacja wymyka się spod kontroli, a ojczyznę toczy jad kultury imperialistycznej. Oto spacyfikowane społeczeństwo, po latach grozy stalinizmu i szarzyzny zaczęło nagle tańczyć rock and rolla. I to tak, że niektórym funkcjonariuszom też zaczęły podrygiwać nogi (grający ich aktorzy rozmawiają o tym między sobą z niepokojem w jednej ze scen spektaklu).

Wyobrażacie sobie taki paradoks? To trochę tak, jakby dzisiejszy szef MSZ Witold Waszczykowski przesiadł się nagle na rower. Albo - o zgrozo - stał się zapalonym wegetarianinem.

W Polsce lat 50. władza próbowała stać na straży moralności obywateli. Usiłowała separować rodaków, jak się tylko dało, od wzorców „zgniłego Zachodu”, świata pełnego kolorów, bardziej otwartego, weselszego.

Brzmi zastanawiająco współcześnie? To jest tego pogodnego musicalu ponura puenta.

Cheek to Cheek

W „Królu Swingu” ciary na plecach wywołują na szczęście nie tylko rozmowy dwóch esbeków, prowadzone w ciasnym pokoiku z orłem na ścianie i Leninem na cokole.

Są jeszcze nieśmiertelne piosenki. „I'm Getting Sentimental”, „On the Sunny Side of the Street”, „Chattanooga Choo Choo”, „I've Got You Under My Skin”. Niektóre wykonane naprawdę po mistrzowsku. Całe przedstawienie - z milicyjnymi tajnikami i historią miłosną w tle - przeradza się w pewnym momencie w jazzowy koncert.

Sonia Bohosiewicz wbija swoimi interpretacjami w krzesło. Podobnie jak Kuba Badach, żartobliwie falujący biodrami w utworze „Cheek to Cheek”. Natalia Rybicka konsekwentnie bryluje na scenie w roli femme fatale. Często w duecie z Maciejem Stuhrem, który choć nie ma głosu Franka Sinatry (nie musi - gra przecież puzonistę) jest bezsprzecznym dyrygentem całego tego zamieszania.

Pozostaje pytanie - po co słuchać tych znanych kawalków właśnie ze sceny?

Myszę, że dla tej samej trudnej do wytłumaczenia energii, dla której polscy jazzmani - ci mniej i ci bardziej znani - spotykali się na próbach i potańcówkach, ryzykując czasami naprawdę wiele. ●